

PIOTR ŁUCZYŃSKI

## Słowa wyzbyte swych znaczeń

*Czy warto angielskie terminy naukowe tłumaczyć na język polski?*

*Chodzi mi o to, aby język giętki  
Powiedział wszystko co pomyśli głowa*

Juliusz Słowacki: *Beniowski* (1840)

Żyjemy w czasach wielkiej dominacji języka angielskiego, zarówno w mowie potocznej, jak i w nomenklaturze naukowej. Terminy angielskie coraz częściej wypierają swoje polskie odpowiedniki, a do języka naukowego wprowadzane są albo wprost słowa angielskie, albo ich spolszczone wersje. Wiele dziedzin nauki i techniki niemal całkowicie zrezygnowało z prób tworzenia własnej, polskiej, samodzielnej terminologii naukowej, w której wprowadzane pojęcia oparte są na polskim źródłosłowie. Efektem takiego stanu rzeczy jest z jednej strony zubożenie języka, a z drugiej funkcjonowanie w nim pojęć, które w polskim otoczeniu leksykalnym pozbawione są swoich wymiarów – semantycznego i etymologicznego. Poniżej przedstawiam sytuację w dziedzinie, która jest mi najbliższa – w geologii, jednak zarówno obserwacje, jak i sformułowane oceny mają, moim zdaniem, znacznie szerszy zasięg i obejmują całość nauk przyrodniczych, a zapewne także i innych.

Angielski to współczesna *lingua franca*. I to oczywiście dobrze, że taki język jest. Zawsze musi istnieć język, który umożliwia porozumiewanie się narodów w skali globu, a przynajmniej w obrębie jednego kręgu kulturowego. Język, którego ludzie na świecie uczą się nie tylko po to, żeby móc porozumiewać się z osobami, dla których jest on językiem rodzimym, ale także z innymi, dla których również jest on językiem obcym. Dziś po angielsku rozmawia Polak z Niemcem i Japończyk z Chińczykiem. W wielu dziedzinach nauki pojęcie „języki kongresowe”, obejmujące, obok angielskiego także francuski, niemiecki i rosyjski, ma już znaczenie wyłącznie historyczne. Przyczyny tak wielkiej dominacji języka angielskiego są oczywiście historyczne i wiążą się z dawną hegemonią Imperium Brytyjskiego na świecie oraz z rosnącą potęgą Stanów Zjednoczonych w XX wieku. Mniej więcej do czasów II wojny światowej przynajmniej równorzędną pozycją cieszył się język francuski. W ekspansji angielskiego nie bez znaczenia są także jego stosunkowo prosta gramatyka i wymowa, umożliwiające jego relatywnie łatwe

przyswojenie. W nauce podstawową rolę odgrywa wyjątkowo silna pozycja państw, w których język angielski jest językiem narodowym i urzędowym, przede wszystkim Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

*Linguae francae* istniały niemal od zarania dziejów. Nigdy jednak nie obejmowały całego świata i ograniczone były do mniejszych obszarów, należących do wspólnego kręgu kulturowego, utrzymujących kontakty handlowe lub podbitych przez wspólnego wroga i wchodzących w skład jednego państwa lub imperium. Około 1500 lat p.n.e., *lingua franca* obejmującą obszar całego Bliskiego Wschodu był język sumeryjski. Około 1000 roku p.n.e w obszarze śródziemnomorskim rolę tę pełnił język fenicki, a na subkontynencie indyjskim sanskryt. Nieco później w całym basenie Morza Śródziemnego porozumiewano się greką, a na Bliskim Wschodzie językiem akkadyjskim, który następnie został zastąpiony przez język aramejski. Na przełomie er *linguae francae* były łacina i greka. W latach późniejszych na dużym obszarze do porozumiewania się służył język arabski. W czasach nowożytnych rolę tę pełniła najpierw łacina, a później na podbijanych obszarach rozpowszechniały się języki państw posiadających kolonie. Tak rozprzestrzeniły się hiszpański i portugalski, a w późniejszych latach angielski, francuski, a na mniejszą skalę także np. niderlandzki.

Współcześnie jedynym językiem globalnym jest angielski. Postkolonialna spuścizna powoduje, że w skali ponadkontynentalnej używane są także francuski, hiszpański i portugalski. Językiem ponadregionalnym jest również język arabski, którego literacka forma umożliwia porozumiewanie się w obrębie świata arabskiego, gdzie odmiany używane w poszczególnych państwach znacznie różnią się od siebie. Arabski swym oddziaływaniem obejmuje także inne niż arabskie państwa muzułmańskie. W krajach byłego Związku Radzieckiego i Europy Środkowo-Wschodniej pozycję *lingua franca* (choć słabnącą) utrzymuje język rosyjski. Regionalnie językami służącymi do porozumiewania się grup używających na co dzień różnych języków są m.in. hindi w Indiach, malajski na Malajach czy suahili na znacznych obszarach Afryki. Listę tę można by długo ciągnąć, gdyż bywa, że istnieją lokalne *linguae francae* umożliwiające komunikację między plemionami, niekiedy liczącymi nie więcej niż kilkaset osób, jak dzieje się np. na Papui Nowej Gwinei.

Jak wszystko na świecie, także języki podlegają ewolucji. Jedne rozwijają się, stale poszerzając swój zasób słów i terminów, inne trwają w stagnacji, nie tworząc nowych pojęć, jeszcze inne karleją i ostatecznie znikają. Jednym z podstawowych mechanizmów powodujących wymieranie języków jest wypieranie języków lokalnych przez języki o szerszym zasięgu oddziaływania, np. przez język urzędowy w danym kraju. Najczęściej dzieje się tak, że o ile starsze pokolenia jeszcze władają lokalnym językiem właściwym dla swojej grupy etnicznej, to już dzieci uczą się jedynie lokalnej *lingua franca*. Języki, którymi nie mówią dzieci, określane są mianem języków konających. Są one skazane na

wymarcie w perspektywie jednego, dwóch pokoleń. Nie przekłada się to wprost na ilość użytkowników, gdyż bywa, że w izolowanych społecznościach, np. w Amazonii, język używany przez plemię liczące sobie kilkaset osób jest żywy, przekazywany dzieciom i dzięki temu nie jest narażony na wymarcie. Ocenia się, że obecnie na świecie jest około 6000 języków, z czego około 1800 to języki konające [1]. Średnio co dwa tygodnie ginie jeden język. Proces ten z różną intensywnością dotyka wszystkich zamieszkałych kontynentów.

Przyrodnicy wiedzą, jaką wartością jest bioróżnorodność, czyli w uproszczeniu ilość gatunków zamieszkujących Ziemię. Bijemy na alarm, gdy zagrożone wyginięciem są rzadkie gatunki roślin i zwierząt. Wielkie wysiłki i środki finansowe przeznaczono na ratowanie pandy wielkiej czy żubra, żeby wymienić tylko najbardziej znane przykłady. W modnym dzisiaj temacie zmian klimatycznych i ocieplania się klimatu szczególną wagę przywiązuje się do zahamowania procesów wpływających na spadek różnorodności biologicznej, w tym na zachowanie rzadkich i zanikających biotopów. Niekiedy nawet, choć oczywiście dzieje się to z olbrzymią przesadą, przyrównuje się dzisiejszą presję na środowisko przyrodnicze do wielkich wymierań w przeszłości geologicznej, takich jak te, które nastąpiły na granicach permu z triasem czy kredy z paleogenem.

Czy podobną troską nie powinno nas napawać masowe wymieranie języków? Przecież język to także, a może przede wszystkim, system pojęć, terminów i wartości. Człowiek nie rozumuje abstrakcyjnie, a swoje myśli formułuje przy pomocy języka. Gdy ginie język, wraz z nim w niebyt odchodzi cały system pojęciowy, pewien określony sposób widzenia świata, wrażliwości. Zasób leksykalny języka, zakresy używanych w nim pojęć, a nawet składnia i gramatyka determinują sposób postrzegania rzeczywistości. Wie o tym każdy tłumacz literatury. Wraz z zanikiem języków następuje nieodwracalne zubożenie kultury, a świat pozbawiony różnorodności językowej byłby po prostu uboższy. Wymieranie języków to jedna z najbardziej tragicznych konsekwencji globalizacji.

Język polski narażony na wymarcie oczywiście nie jest. Jednak w wielu dziedzinach przestał się rozwijać. Jednym z podstawowych powodów, dla których tak się dzieje, jest rezygnacja z tworzenia nowych pojęć i zastąpienie go prostą inkorporacją terminów angielskich. Dotyczy to zarówno nomenklatury naukowej, jak i codziennej mowy potocznej. Zakupy robimy w marketach i dyskontach, bookujemy bilety lotnicze, w badaniach opinii stanowimy grupę fokusową i jesteśmy informowani o życiu celebrytów. Jako pracownik Uniwersytetu Warszawskiego otrzymałem ostatnio ankietę z Pracowni Ewaluacji Jakości Kształcenia, której jednym z celów było zwiększenie transparentności procesu nauczania. Czy naprawdę tak trudno znaleźć dobre polskie określenia? Dlaczego nie po prostu oceny? Dlaczego nie przejrzystości?

Niepoprawne i mechaniczne tłumaczenie zwrotów angielskich daje niekiedy zgoła komiczne rezultaty. Mamy „ekskluzywny wywiad” (ang. *exclusiv interview*), używany

w znaczeniu wywiadu na wyłączność, podczas gdy po polsku ekskluzywny znaczy tyle co bogaty, dobrej jakości, kosztowny, tak jak ekskluzywne towary. W analizach finansowych nagminnie angielskie słowo *sentiment*, oznaczające nastrój inwestorów, chęć do podejmowania ryzyka w odniesieniu do walut czy akcji, tłumaczone jest jako „sentyment”. W efekcie mamy „zły sentyment na dolarze”. Zamiast naukowych ośrodków doskonałości powstają „centra eksceleńcji”. Niektóre słowa całkowicie zmieniły swoje znaczenie. „Galeria” to dziś już nie miejsce obcowania ze sztuką ani nie forma architektoniczna, ale dom towarowy.

Oczywiście włączanie obcych wyrazów do języka polskiego jest czymś naturalnym i nieuniknionym i ma swoją długą historię. Nasz język pełen jest zapożyczeń z języków antycznych, z angielskiego, francuskiego, niemieckiego czy rosyjskiego. Dzięki temu zyskiwał na on bogactwie, gdy obok słowa rdzennie polskiego mamy termin pochodzenia obcego. Powstają w ten sposób pary synonimów, jak np. wiadomość – informacja. Dobrze jednak, gdy słowu obcemu towarzyszy jego polski odpowiednik. Podobnie jest w nauce, np. w fizyce: dyspersja fali to jej rozproszenie, a refrakcja to jej załamanie.

W nauce odejście od tworzenia polskiej terminologii wynika między innymi ze, skądinąd uzasadnionej, powszechności publikowania w języku angielskim. Podstawowym kryterium oceny każdego pracownika naukowego jest liczba i jakość napisanych przez niego prac oraz ilość cytowań. Szczególnie wysoko punktowane są publikacje i cytowania z tzw. listy filadelfijskiej (ISI Master Journal List). Można powiedzieć, że czego nie ma na liście filadelfijskiej, to nie istnieje. Tymczasem lista filadelfijska to sfera absolutnej hegemonii języka angielskiego, a czasopisma naukowe wydawane w językach narodowych stanowią w niej jedynie ułamek, i to stale malejący. Kryteria, które spełniać musi czasopismo, aby dostać się na tę listę, obejmują m.in. podawanie danych bibliograficznych artykułów (tytuł, słowa kluczowe) oraz streszczeń w języku angielskim, a opisy bibliograficzne prac cytowanych muszą być zapisane literami alfabetu łacińskiego, czyli np. bez polskich znaków diakrytycznych. Wprost preferowane są czasopisma publikujące pełne teksty w języku angielskim. W efekcie ponad 50% czasopism na liście filadelfijskiej to pisma wydawane w USA, a ponad 80% to czasopisma anglojęzyczne. Jest to szczególnie kontrowersyjne w przypadku nauk humanistycznych, gdzie o danej kulturze czy języku pisze się w innym języku, choć akurat tu lista ma mniejsze znaczenie. Kolejne polskie pisma wchodzące na listę, niegdyś dopuszczające artykuły w języku polskim, są dziś w całości anglojęzyczne, tak jak w geologii choćby *Geological Quarterly* (Kwartalnik Geologiczny). Praktycznie jedynym polskim szerzej znanym czasopismem geologicznym drukującym artykuły w języku polskim pozostał „Przegląd Geologiczny”, który jednak jest bardziej pismem informacyjnym Państwowej Służby Geologicznej niż miejscem publikacji ważnych prac naukowych.

I znów, to oczywiście dobrze, że piszemy po angielsku, bo tylko tak nauka polska może uczestniczyć w światowym obiegu myśli. Jednak całkowita rezygnacja z publikowania po polsku powoduje brak potrzeby tworzenia nowych polskich pojęć i w efekcie stagnację w rozwoju języka. A – tak jak wszędzie – także i tu, kto nie idzie naprzód, ten się cofa. W rezultacie język polski w wielu sferach nie jest już w stanie opisywać złożoności świata i zmusza do włączania weń terminów angielskich. Postulat Słowackiego o giętkim języku, co to jest w stanie dokładnie przekazać wszystko to, co pomyśli głowa, przestaje być możliwy do spełnienia. Nieuchronnie prowadzi to do nieporadności wysławiania się. Istnieją na świecie języki, w których proces ten zaszedł na tyle daleko, że stał się nieodwracalny, jak choćby w arabskim. Mimo swej powszechności, mierzonej ilością użytkowników (według różnych źródeł od 150 do 220 milionów [2], 4-5 język świata), język arabski w wielu dziedzinach nie wykształcił fachowej nomenklatury, co zmusza np. lekarzy czy inżynierów do porozumiewania się po angielsku bądź po francusku. W wielu dziedzinach nauki język polski jest, moim zdaniem, na pograniczu takiej sytuacji i najbliższe lata zadecydują, jaka będzie jego przyszłość. Już dziś mówimy slangiem.

Można zadać pytanie: po co tworzyć polskie określenia, skoro i tak zmuszeni jesteśmy publikować po angielsku? Niech fachowcy w swoich wąskich gronach porozumiewają się po angielsku, komuż to szkodzi? Jednak nauka podlega stałemu rozwojowi i wraz z nim coraz to nowe pojęcia stają się elementem wiedzy powszechnej. To, co wczoraj było nowością na poziomie akademickim, dziś jest wprowadzane do liceów, a jutro być może do gimnazjów. Już dziś zmuszeni jesteśmy do używania terminów angielskich na wykładach, na seminariach, a nawet na lekcjach w szkole średniej. W geologii np. podstawowe pojęcia tektoniki płyt, czyli teorii tłumaczącej ruchy kontynentów i powstawanie orogenów (łańcuchów górskich), nie zostały przetłumaczone na język polski. Teoria ta rodziła się na świecie w latach 60. XX wieku, a więc od jej ogłoszenia mijają już pół wieku, a mimo to do dziś nie mamy polskich określeń na najbardziej podstawowe opisywane przez nią procesy. Dlatego wciąż mówimy o ryftingu (rozrywaniu) skorupy, o spreadingu (rozszerzaniu się) dna oceanicznego czy o subdukcji (podsuwaniu się) skorupy oceanicznej. A wszystko to weszło już dawno do kanonu nauczania geografii w szkołach średnich. Szczególnie – moim zdaniem – rażą terminy, które nawet nie zostały spolszczone, z pozostawioną angielską końcówką czasownika – *ing*. Była co prawda próba zastąpienia ryftingu ryftowaniem, ale – nie wiedzieć czemu – nie przyjęła się.

Osobną kwestią jest pisanie i tłumaczenie podręczników akademickich. Wydaje się, że to właśnie tu jest miejsce na wprowadzanie polskiej terminologii. Tymczasem, i tu znów odwołam się do najbliższej mi geologii, nowoczesnych podręczników w języku polskim brakuje. Spowodowane jest to przede wszystkim brakiem motywacji, w tym finansowej, dla pracowników naukowych do podjęcia się trudu ich napisania. Pisanie podręcznika, przy całym olbrzymim nakładzie potrzebnych na to pracy i czasu, przy

obecnym systemie finansowania i rozliczania efektywności pracy naukowej pozostaje działalnością nieomal hobbystyczną. Dlatego wydawane u nas podręczniki częściej są tłumaczeniami, zwykle z angielskiego. I tu tłumacz stoi przed nie lada kłopotem, czy legitymizować istniejący stan rzeczy, w sytuacji gdy środowisko naukowe nie wykształciło swoistej polskiej terminologii, czy pokusić się o zaproponowanie nowych pojęć. Autor tego artykułu sam stał przed tym dylematem, tłumacząc podręcznik oceanografii *Oceany świata*. W geologii było niegdyś czasopismo „Postępy Nauk Geologicznych”, które podejmowało tę problematykę i na łamach którego pojawiały się propozycje nowych polskich terminów geologicznych, ale zostało zlikwidowane z braku finansowania, mimo że reprezentowało wysoki poziom i – moim zdaniem – było bardzo potrzebne. Może powinien powstać odpowiedni fundusz dla takich wydawnictw?

Obok opisanych powyżej kwestii związanych z zahamowaniem rozwoju języka, podstawowym negatywnym skutkiem wplatania wyrazów angielskich do języka polskiego jest utrata przez nie swoich wymiarów etymologicznych i semantycznych. Słowa między innymi dlatego są zrozumiałe, że przez swój źródłosłów, poprzez swoją warstwę semantyczną, podsuwają odpowiednie skojarzenia. Dzięki temu student, po raz pierwszy stykając się z nowym terminem naukowym, przez zależność między formą (brzmieniem) wyrazu a jego znaczeniem ma ułatwione zadanie. Że raz jeszcze odwołam się do przykładów z fizyki: termin rozproszenie fali jest zrozumiałe sam przez się, podczas gdy słowo dyspersja w polskim otoczeniu leksykalnym nie niesie ze sobą żadnych skojarzeń. Zależność między formą wyrazu, jego źródłosłowem, pierwotnym znaczeniem a treścią, którą niesie, zostaje przerwane. Jest oczywiście druga strona medalu: wchłonięcie słów angielskich do polskiego słownika naukowego ułatwia zrozumienie anglojęzycznej literatury.

Opisywany problem dotyczy wszystkich języków włączających w swój zasób słownictwa terminy angielskie, w tym nawet języków tak ważnych w nauce, jak niemiecki czy francuski. Jednak w ich przypadku sytuacja wygląda nieco inaczej niż w odniesieniu do języka polskiego. Języki indoeuropejskie dzielą się na dwie wielkie grupy – kentum i satem. Języki germańskie, w tym angielski i niemiecki, a także romańskie, w tym francuski, wywodzą się z języka kentum, przez co są sobie leksykalnie bliskie. Dzięki temu słowa angielskie w niemieckim czy francuskim otoczeniu leksykalnym zwykle utrzymują swój kontekst semantyczny i zachowują odpowiednie skojarzenia. W języku polskim, który podobnie jak inne języki słowiańskie, czy szerzej bałtosłowiańskie, wywodzi się od języka satem, ten kontekst semantyczny zostaje zerwany, a skojarzenia oparte na źródłosłowie stają się niemożliwe.

Słowa o obcym rodowodzie są w polskim języku naukowym powszechne. W geologii szczególnie chyba dużo jest terminów o źródłosłowie antycznym. I tak, żeby przywołać kilka najpowszechniej znanych przykładów: „wulkan” pochodzi od łacińskiego *Vulcanus*,

czyli rzymskiego boga ognia. Podobnie jest w innych językach: *volcano* (ang.), *volcan* (franc.) czy *vulkan* (niem.). „Magma” wywodzi się od greckiej *Μάγμα*, co oznacza gęstą maź (ang. *magma*, franc. *magma*, niem. *magma*). Słowo „krater” (ang. *crater*, niem. *krater*, franc. *cratere*) pochodzi od greckiego czasownika *Κεράννωμι*, oznaczającego *ja mieszam*. Tak nazywane było używane w starożytności ceramiczne lub metalowe naczynie o charakterystycznym kształcie, służące do mieszania wina z wodą. Także „delta” (ang. *delta*, niem. *delta*, franc. *delta*) wywodzi się z greki. Tak w starożytności nazywane było ujście Nilu, swym trójkątnym kształtem przypominające grecką literę Δ. We wszystkich tych określeniach widać dbałość o stworzenie odpowiedniego skojarzenia semantycznego.

Źródłosłów antyczny nie jest oczywiście jedyny. W polskiej nomenklaturze geologicznej, podobnie jak w innych językach, mamy całą gamę wyrażeń wywodzących się z języków stosowanych na obszarze, na którym dane zjawisko jest typowe. Słowo „tsunami”, używane chyba we wszystkich językach świata, pochodzi z japońskiego i oznacza falę portową (*tsu* – port, *nami* – fala). „Atol” wywodzi się z lokalnego języka używanego na Malediwach. „Laguna” wywodzi się z włoskiego i pierwotnie odnosiło się do Laguny Weneckiej. „Kras” to nazwa płaskowyżu w Słowenii (Kras) i częściowo we Włoszech (Carso), gdzie zjawiska krasowe są powszechne. Termin „fiord” pochodzi z protoskandynawskiego *fj rðr*, co oznacza zbiornik wodny „podobny do jeziora”. Bywa, że do światowej literatury na trwałe weszły określenia pochodzące z języka innego niż angielski, w którym zostały zastosowane jako pierwsze. Tak jest np. w przypadku „kaptazu”, oznaczającego przejście wód jednej rzeki przez drugą (od franc. *captage* – przechwycenie), czy „mutonu” – wyglądu lodowcowego o charakterystycznym kształcie (od franc. *mouton* – baran). Rzadkością są określenia geologiczne pochodzące od nazwisk – jak np. „guyot”, oznaczające podmorskie wzniesienie o płaskim wierzchołku. Termin ten został wprowadzony w połowie lat 40. XX wieku przez amerykańskiego geologa Harry’ego Hessa na część geologa i geografę Arnolda Henry’ego Guyota (1807-1884).

Niewiele jest w światowej geologii określeń wywodzących się z języków słowiańskich, a więc takich, które po polsku zachowują swoje konotacje semantyczne. Najłatwiej znaleźć je w terminologii krasowej, gdzie funkcjonują słowa pochodzące z serbskiego i chorwackiego, takie jak „polje” (od pola), oznaczające płaski, obniżony obszar w rzeźbie krasowej nadający się do kultywacji, czy ponor (od nory), czyli miejsce, gdzie ciek powierzchniowy ginie w kanale krasowym. Jeszcze trudniej znaleźć terminy wprost wywodzące się z języka polskiego. Takim słowem jest „rędzina” (ang. *rendzina*), oznaczające rodzaj gleby. Źródłosłów tego terminu jest zaskakujący, gdyż wywodzi się on od kolokwialnego słowa „rzędzić” (zrzędzić). Rędzina, jako gleba zawierająca dużo żwiru i kamieni, w trakcie orki daje różne efekty dźwiękowe, wynikające z uderzania i skrobienia, czyli zrzędzi, marudzi, skarży się oraczowi.

Oczywiście są także określenia mające swoje własne, swoiście polskie brzmienie. Wydaje się, że można tu dokonać pewnego uogólnienia i stwierdzić, że w szeroko pojętych naukach o Ziemi są to głównie pojęcia opisujące rzeczy lub procesy od zawsze obserwowane w Polsce i w związku z tym funkcjonujące w języku powszechnym, takie jak powódź, lawina, piasek czy żwir, lub w Polsce niewystępujące, ale od dawna znane, jak np. lodowiec czy wydma. Nie brakuje również udanych tłumaczeń na polski i wprowadzenia terminów, które niekiedy nawet lepiej niż ich angielskie pierwowzory oddają naturę opisywanej przez siebie struktury lub procesu. Takim słowem jest, moim zdaniem, „zlepieniec” oznaczający grubookruchową skałę klastyczną, co lepiej opisuje jego istotę niż angielskie „conglomerate” (konglomerat). Nie trzeba bać się tworzenia terminów odwołujących się do polskiego źródłosłowu, nawet jeśli początkowo wydają się niezręczne. Podobnie zresztą jest w języku potocznym. Czy kogoś dziś śmieszy słowo „samochód” (będące zresztą dość wiernym tłumaczeniem słowa „automobil”), albo „rajstopy”? Podobnie, lepszym określeniem jest polskie „uziarnienie frakcjonalne”, oznaczające gradację wielkości ziarn w skale (czyli ich frakcji), niż jego angielski odpowiednik „graded bedding” (warstwowanie frakcjonalnie), sugerujący zmiany w gęstości warstwowania, a nie we frakcji ziarn. Z powodzeniem przyjęły się „płaszcz” (ang. *mantle*), czy plama gorąca (ang. *hot spot*). Niekiedy niestety dobre tłumaczenia, nawet pomimo funkcjonowania przez jakiś czas, zostały ostatecznie wyparte przez słowa będące prostą kalką z angielskiego. Tak jest np. z „szelfem kontynentalnym”, który był niegdyś nazywany półką kontynentalną, ze słowem „cieplice” zastąpionym przez „termy”, czy z „druzgotem” dziś określanym jako „brekcja”. We wszystkich tych zarzuconych określeniach widać dbałość o stworzenie odpowiedniego skojarzenia semantycznego, które po przyjęciu słów pochodzących z angielskiego zostało utracone. Podobny proces zachodzi także w innych językach. Termin synklina (ang. *syncline*) zastąpił nie tylko polską „nieckę”, ale także niemiecką *mulde* czy francuską *aule*.

Przykładów stosowania w polskim języku geologicznym terminów wywodzących się z angielskiego, które w polskim otoczeniu leksykalnym są semantycznie nieme, jest bez liku. Niekiedy ich źródłosłów jest starszy i sięga np. łaciny lub greki, jednak do języka polskiego przyszły one poprzez angielski. Określenie „tempestat” (ang. *tempestite*), oznaczające osad sztormowy, pochodzi od angielskiego *tempest* (burza), a pośrednio od łacińskiego *tempestas* (zła pogoda). W tekście angielskim czytelnik, nawet po raz pierwszy stykający się z tym słowem, jest w stanie domyślić się jego znaczenia, w tekście polskim już nie. Podobnie termin „turbidyt” (ang. *turbidite*), określający osad złożony przez prądy zawiesinowe, bierze swój źródłosłów z angielskiego *turbidity*, co znaczy mętność, mglistość, także gęstość; stąd *turbidity currents* to gęste prądy zawiesinowe, niosące w sobie mętną zawiesinę osadów. Określenie „imbrykacja” (ang. *imbrication*) pochodzi od *to imbricate*, czyli zachodzić na siebie i oznacza pewne charakterys-



tyczne ułożenie elementów skały wywołane kierunkowym przepływem wody. Po polsku kojarzyć się może raczej z imbrykiem. Termin „warstwowanie konwolutive” jest prostym, mechanicznym spolszczeniem angielskiego *convolute bedding*, co oznacza zwinęte, skręcone. Po angielsku określenie to oferuje łatwe skojarzenie z opisywaną strukturą, a po polsku niestety już nie, podczas gdy odpowiednie skojarzenia niosą inne terminy z tej samej klasyfikacji, takie jak „warstwowanie rynnowe” czy „warstwowanie przekątne”. Podobnie „kompakcja”, czyli zmniejszenie się objętości skały w wyniku nacisku, pochodzi od angielskiego *compact*, co oznacza zbity, zwarty. Określenie „facja” (ang. *facies*), czyli zespół charakterystycznych cech skały osadowej, wywodzi się od łacińskiego *facies* (oblicze, forma), i po angielsku łatwo kojarzy się ze słowem *face*, czyli twarz. Przykłady tego typu można mnożyć. W języku angielskim we wszystkich tych określeniach, poprzez odpowiedni źródłosłów, zachowany zostaje semantyczny związek wyrażenia z opisywanymi przezeń strukturami i zjawiskami. W języku polskim we wszystkich przytoczonych określeniach związek ten nie istnieje.

Istnieją całe działy geologii, w których mimo licznych prób nie udało się dotąd stworzyć polskiej terminologii, a słowa angielskie stosowane są wprost, nawet bez nadawania im polskiej formy gramatycznej. W analizie mikrofacjalnej wapieni, czyli przy opisie obrazów mikroskopowych tych skał, w powszechnym użyciu są angielskie określenia *mudstone*, *packstone* czy *grainstone*, podczas gdy polskie propozycje, takie jak: „mułowiec”, „bryłkowiec”, „ziarnowiec”, czy „mulit”, „ziarnolit” i „ziarnit”[3], znane są bardzo nielicznym. Podobnie w prężnie rozwijającym się dziale geologii, jakim jest tzw. stratygrafia sekwencji, używamy angielskich słów *onlap*, *toplap*, *downlap*, ignorując dobre, moim zdaniem, propozycje, takie jak: kontakt „wstępujący”, „zstępujący” czy „przekraczający”[4].

Przytoczone przykłady pochodzą z geologii, ale problem jest dużo szerszy i dotyczy różnych gałęzi nauki.

Powszechna jest opinia, że zmiany zachodzące w językach, w tym opisane powyżej wchłanianie terminów angielskich, są procesem naturalnym i jako takie są nie do uniknięcia. Jest to prawda tylko po części. Rozwój języka może być stymulowany i sterowany. Najlepszym chyba przykładem jest historia języka hebrajskiego. Był to język używany na terenie Palestyny w starożytności, który około 200 r. p.n.e. został wyparty przez język aramejski. A później przez ponad dwa tysiąclecia był to język praktycznie martwy, używany jedynie podczas ceremonii i do zapisu tekstów religijnych, takich jak Tora czy Miszna. Żydzi żyjący w diasporze na co dzień nie posługiwali się hebrajskim, ale np. jidysz (aszkenazyjczycy), językiem ladino-dzudezmo (sefardyjczycy) lub po prostu używali języka kraju, w którym żyli: polskiego, rosyjskiego czy arabskiego. Odrodzenie hebrajskiego nastąpiło z końcem XIX wieku, gdy Żydzi z diaspory zaczęli powracać do Palestyny i potrzebowali *lingua franca*, którą mogliby porozumiewać się między

sobą. Wskrzesicielem hebrajskiego jest urodzony na Litwie Eliezer ben Yehuda, który w roku 1881 sam stworzył około 4000 nowych wyrazów, dostosowując biblijny język do współczesności [5]. Proces ten zakończył się pełnym sukcesem. Od 1948 roku hebrajski jest oficjalnym językiem Izraela, którym na świecie, według różnych szacunków, porozumiewa się od 5 do 8 mln ludzi.

A zatem można. I jeżeli nie chcemy mówić i pisać slangiem, powinniśmy trud uwspółcześniania polskiego języka naukowego podejmować. Inaczej nasz język będzie coraz bardziej hermetyczny i niezrozumiały dla kogokolwiek spoza wąskiego kręgu fachowców i to wcale nie ze względu na skomplikowaną materię poruszanej tematyki. Jeżeli język polski nie będzie się rozwijał, m.in. poprzez pojawianie się nowych pojęć w nauce, skazani będziemy na nieczytelną nowomowę. Czy nie lepiej zamiast „downlap w highstandzie” powiedzieć „zstępujący kontakt (ułożenie) warstw przy wysokim poziomie morza”? Nawet jeżeli jest to trochę dłuższe. Na wysokim poziomie szczegółowości, w sytuacji gdy dany termin stosowany jest przez bardzo ograniczoną liczbę osób, zastosowanie wyrazów obcych (angielskich) jest prawdopodobnie nie do uniknięcia. Powinniśmy jednak starać się eliminować język angielski przynajmniej z tych określeń, które będą wchodzić do podręczników szkół średnich. Potrzebna jest zarówno, nazwałbym to, „bierna” odnowa języka, poprzez eliminację obcych naleciałości powodujących zubożenie polskiego słownictwa, ale też „czynna”, przez samodzielne tworzenie nowych pojęć opisujących zmieniający się świat.

## Literatura

- [1] Harrison, K.D, *When language die. The extinction of the World's languages and the erosion of human knowledge*. Oxford University Press; New York and London, 2007
- [2] Lewis, M.P. (ed), *Ethnologue: Languages of the World*. Sixteenth edition. Dallas, Texas, USA, 2009
- [3] Romanek A., *Dunham po polsku (i nie tylko) raz jeszcze*. „Przegląd Geologiczny” 1990: 210-211
- [4] Porebski S.J, *Podstawy stratygrafii sekwencji w sukcesjach klastycznych*. „Przegląd Geologiczny” 1996: 995-1006
- [5] Fellman J., *The revival of a classical tongue: Eliezer Ben Yehuda and the modern Hebrew language*. The Hague, Netherlands, 1973

## Words without meaning

We live in times of the domination of English language, both in common speech and in scientific nomenclature. In many fields of science, attempts to create Polish terminology have almost completely been abandoned. Among others, this is an effect of publishing in English, mainly in journals from Philadelphia List, which in itself is positive, as it is the only way, in which Polish

---

science can take part in global circulation of ideas. However, resignation of writing in Polish results in a lack of need to create new terms and in consequence, in stagnation in the development of Polish language. In effect it is necessary to use English terms in lectures, on seminars and even on lessons in secondary schools. Apart from stopping the Polish language from developing, the main negative result of implementing English terms into Polish is the loss of their semantic and etymological dimensions. Words are understood also thanks to the semantic associations they offer. Words comprehensible in English linguistic surrounding because of their etymological associations with the described feature, are semantically blank in Polish. The paper presents the situation in geology; however the problem is broader and applies also to other fields of science.

**Key words:** Polish language, English language, language development and stagnation, words etymological and semantic dimensions, geology

